

Ojciec: „W gruncie rzeczy istnieją tylko książki. Księga jest mitem, w który wierzymy w młodości, ale z biegiem lat przestaje się ją traktować poważnie”.

Józef: „Miałem już wówczas inne przekonanie, wiedziałem, że Księga jest postulatem [...] Czuję na barkach ciężar wielkiego posłannictwa”.

Bruno Schulz, „Księga” („Sanatorium pod Klepsydrą”)

Część pierwsza

Postrzyżyny

Mysz wyszła ze swej kryjówki i ostrożnie węszyła za chlebem, którego okrusz stanowił przynętę w moim potrzasku. Czyhałem z morderczym instynktem łowcy, niby któryś z moich wiślańskich przodków dybiący na grubego zwierza. Gryzoń zamierzał porwać kruszynę chleba i zbiec do nor-ki — w tej chwili szarpnąłem za sznurek! Durszlak opadł i uwięził mysz! W podnieceniu zerwałem się z dziecięcego wózka, w którym siedziałem niczym w twierdzy. Tylko tutaj czułem się bezpiecznie, mimo że rodzice zabraniali mi się w nim bawić. Moja ofiara szamotała się rozpaczliwie pod durszlakiem. W bezwzględnej walce o przetrwanie (ojciec powiedział rano, że jeszcze trochę i myszy zjedzą nas z butami) nie miałem litości — przesunąłem durszlak i zrzuciłem ją do balii z wodą stojącej przy stole. Pływała bezradnie. Skojarzyła mi się z myszami, które w pogoni za księciem Popielem i jego rodziną przepłynęły jezioro. W drewnianej wieży zjadły jego dzieci, potem żonę, a na końcu jego samego. Czytałem o tym niedawno w *Starej baśni*. Patrzyłem na mysz i czekałem na powrót rodziców, którzy pojechali na targ do Łagowa. Ojciec miał dziś kupić nożyczki, żeby mi podstrzyć włosy, które jeszcze nigdy nie były strzyżone.

— Co ty robisz? — ojciec wszedł do kuchni i od razu spostrzegł moją pułapkę i balię z wodą. Matka też była zaskoczona.

— Łapię myszy — uśmiechnąłem się dumnie. — Jedna już tutaj pływa — wskazałem wzrokiem balię. — Nie chcę, żeby nas zjadły jak Popieła i jego rodzinę.

— Kupiliśmy trutkę, jakoś sobie z nimi poradzimy — ojciec uśmiechnął się w zamyśleniu. — Coś takiego — podziwiał skuteczność mojej pułapki. — Zjemy obiad i cię ostrzygę. Pójdziemy na Górę Witosławską...

Po obiedzie ojciec wziął nożyczki i wyszliśmy z domu. Patrzyłem na budynek, który wznosił jeszcze przed wojną mój dziadek. Kiedyś była to prawdziwa willa, ale widać już było po niej upływ czasu. Ściany coraz bardziej obrastał bluszcz, który wciskał się w każdą szczelinę w tynku. Dom wyglądał niby zielony potwór.

Ruszyliśmy z ojcem w kierunku lasu. Oczywiście towarzyszył nam Anioł, mój mały biały piesek.

— W świętym gaju, który kiedyś rósł na stoku Góry Witosławskiej, stały posążki Łady, Boda i Lela... — mówił ojciec, trzymając mnie za rękę. Ojciec był wszechwiedzącym magiem i kapłanem. W jego opowieściach była zawarta historia mojej rodziny i ziemi. Jeszcze nie wszystko rozumiałem z tego, co mówił. Dla mnie wszystko było bajką. „Bajka” — tak niektórzy złośliwcy nazywali mojego ojca.

— W zamku stojącym na szczycie góry żył kiedyś książę Witosław, mściwy i okrutny. Wszyscy w okolicy drżeli przed nim! — ojciec powiedział to z mocą, jakby to on był tym potężnym władcą. — Najmniejsze przewinienie karał śmiercią lub więzieniem w lochach zamku... Tędy synku — ojciec wskazał mi ścieżkę, gdy weszliśmy do lasu. Anioł biegł obok mojej nogi, czujnie nasłuchując.

— Witosław miał jednego syna. Nosił to samo imię, ale miał zupełnie inne usposobienie... — zamyślił się ojciec. Czyżby już teraz dostrzegał różnicę, jaka kiedyś będzie pomiędzy nami? Dla mnie w tym czasie ojciec był najmądrzejszym człowiekiem na świecie. Ojcowie Suchego i Szefa, którzy jeszcze nie mieli swoich przezwisk, byli Władkiem i Bogdanem, nie umywali się do niego. Nikt nie potrafił opowiadać tak zajmująco jak on. Matka, zazdrosna o te jego historie, próbowała przyciągnąć mnie do siebie opowieściami biblijnymi. I takim to sposobem od początku mieszały się w mojej głowie dwa porządki — biblijny i legend świętokrzyskich.

— W odróżnieniu od ojca, który za wszelką cenę dążył do wyznaczonego celu, młody książę odznaczał się łagodnością. Gdy skończył dwadzieścia

lat, ojciec przemówił do niego: „Jestem już stary i wkrótce przyjdzie kres mego władania. Zanim zostaniesz moim następcą, musisz się ożenić, a ponadto spłodzić syna, który przedłuży nasz ród. Weź kilku pacholków, każ osiedlać najpiękniejsze rumaki i wyrusz po żonę. Zamki naszych sąsiadów słyną z dorodnych dziewczic, jedną z nich przywieź mi za synową. Przestrzegam cię, żebyś nie brał niewiasty z niższego stanu, bo cię wydziedziczę...” — mówił ojciec, jakby to on sam kierował do mnie te słowa. Wierzył, że jesteśmy potomkami potężnego księcia Wiślan, opisanego w *Żywocie św. Metodęgo*. — Rozumiem go... Nasi przodkowie zaczęli się żenić z kobietami niższego stanu i teraz my, orły, musimy żyć wśród kur... Słyszałem kiedyś taką historię. Leśniczy znalazł w lesie pisklę orła. Zaniósł je do kurnika. Orlątko wychowywało się wśród kur. Z czasem zaczęło się zachowywać jak kura. Kiedyś do leśniczego zaszedł ornitolog. Wziął ze sobą orła i próbował nauczyć go latać. Ale to się nie udało. Czy naszemu rodowi uda się kiedyś wyrwać spośród tych świętokrzyskich kur, odzyskać swą orlą potęgę? Może ty tego dokonasz? Muszę uczyć cię latać jak najwcześniej! — mówił ojciec, a ja słuchałem go uważnie, nie zdając sobie sprawy, jakim piętnem mnie nanacza. Odtąd zawsze będę czuł się inny od swoich krajan. Lepszy?

— I udało mu się znaleźć żonę? — Chciałem wiedzieć, jakie były dalsze losy młodego Witosława, bo mimo swoich siedmiu lat miałem już upatrzoną kandydatkę na towarzyszkę życia — Liubow, którą nazywałem Różą.

— Orszak młodego księcia ciągnął przez puszcę. Natknęli się na kłęzącą przy strumieniu dziewczynę. Obmywała w wodzie zakrwawioną dłoń. Obok niej stał wierzchowiec, niedaleko leżał wielki dzik z utkwioną w sercu włócznią...

— Tato, a czy w Puszczy Jodłowej są jeszcze dziki? — zapytałem buńczucznie. Czytałem niedawno komiks prezentujący dzieje Bolesława Krzywoustego. Wiedziałem, że szrama na jego wardze powstała podczas niefortunnego polowania na dzika. Książę zabił odyńca, ale został ranny. Gdy w przyszłości kłóciłem się ze swoim ojcem, wspominałem konflikt Krzywoustego z Władysławem Hermanem, w którym ostatecznie zwyciężył syn. Ceniłem Bolesława — ileż razy w swoim późniejszym życiu prowadziłem wojnę podjazdową, pozbawiony jakiegokolwiek wsparcia.

— Są, właściwie już tylko dziki zostały z grubszej zwierzyny. Kiedyś były jeszcze jelenie, niedźwiedzie... — wymieniał ojciec, a w moich uszach już rozbrzmiewały echa myśliwskich rogów, pohukiwania nagonki. Chciałem na-

tychmiast wyruszyć na polowanie, by wykazać się siłą i odwagą. Ech, ojcze! Potężna moc twoich słów kierowała moją wyobraźnię ku wielkim czynom!

— Zrobisz mi włóczę? — Już widziałem, jak mierzę nią w serce nadbiegającego odyńca! Ten wali się u moich stóp i zdycha, groźnie pomrukując! Co tam myślisz, której nawet nie potrafiłem utopić. Dzik to było wyzwanie dla mnie! — A łuk i strzały? — Już strzelałem do uciekającego jelenia! I na niedźwiedzia bym się porwał, gdybym nie przypomniał sobie o dziewczynie spotkanej przez młodego księcia. Oczywiście, w tej roli wyobraziłem sobie Liubow. Włosy jasne, długie, rozsypane na ramiona. I błękitne oczy...

— Dziewczyna była córką leśniczego. Upolowała dziką i została skaleczona kłębem w chwili, gdy martwemu, jak jej się zdawało, zwierzęciu chciała wyciągnąć włóczę z serca... — ojciec przystanął w zamyśleniu. Musiałem go pociągnąć za rękę, żebyśmy weszli na górę. — Zaraz będziemy na szczycie — uspokoił mnie. — Dziewczyna zaproponowała wędrowcom odpoczynek w leśniczówce. Młody książę nie myślał już o szukaniu bogatej księżniczki: zakochał się w prostej córce leśniczego. Z wzajemnością. Po cichych zaślubinach młodzieniec przywiózł żonę do swego zamku. Gdy stary Witosław dowiedział się, kim jest jego synowa, rozgniewał się okrutnie. Nakazał ją wtrącić do lochu. Na nic zdały się błagania młodego Witosława, a nawet wstawiennictwo kapłana, który dał młodym ślub. Kiedy syn zagroził, że jeżeli dziewczyna umrze, to on odbierze sobie życie, ojciec i jego uwięził w zamkowej celi, o chlebie i wodzie... — zamyślił się. Czyżby rozmyślał o tym, że próbuje mnie uwięzić w swoich marzeniach? Że będę kiedyś tak uparcie jak on dążył do osiągnięcia potęgi i chwały? Ze świadomością, że jeśli przegram, to całkowicie; nie będzie z czego się odegrać. A potem — już tylko rezygnacja, jakiej ulegnie mój ojciec, gdy zrozumie, że nie uda mu się zrealizować marzeń. Czy kiedyś — jeśli przegram, będę próbował zmuszać do lotu mojego syna?

— Ojca dziewczyny, który w przebraniu dotarł na dziedziniec zamkowy, niosąc zawiniątko z jadłem dla córki, kazał dotkliwie pobić i wyrzucić za bramę... — powiedział, a ja przypomniałem sobie, jak przyszedł do niego pan Aleksander, ojciec Liubow. Chciał go zapytać, dlaczego nie pozwala mi się spotykać z jego córką. Czy ona jest gorsza dlatego, że urodziła się na Ukrainie? Przecież on nigdy nie zapomni, że jego rodzice byli Polakami. Nigdy nie przestał używać polskiej mowy. Może on, żona i córka mówią z dziwnym zaśpiewem, ale komu to przeszkadza? Zwłaszcza w naszej wsi,

w której prawie wszyscy mówią gwarą. Gwarą, która tak naprawdę jest nie-
dbałą polszczyzną, a nie kanonem językowym. Pan Aleksander skończył
studia polonistyczne we Lwowie i znał się na tym. Mój ojciec z trudem czy-
tał, chociaż posiadał wiedzę z wielu dziedzin, nieusystematyzowaną. Chyba
to ze względu na jego wykształcenie mój ojciec nie lubił pana Saszy. I tym
kategoryczniej zabraniał mi odwiedzać Liubow. Zamykał mnie w domu.
Ileż łez wylałem z tego powodu! A on swoje: „Nie będziesz się spotykał
z tą Ukrainką! Pamiętaj o tym, jak zginął twój dziadek! Zamordowali go
Ukraińcy!”. Nie rozumiałem wtedy tych spraw. Sprzeciwiałem się: dla-
czego ty możesz spać z moją mamą, a ja nie mogę przyprowadzić do swojego
łóżeczka Liubow?

— Osłabiona głodem dziewczyna zmarła. Na wieść o śmierci żony pękło
serce młodzieńca. Stary książę pożałował swego postępowania. Z rozpacz-
y po śmierci jedynaka kazał zbudować z dala od zamku drewnianą chatkę,
w której zamieszkał samotnie. Zamek kazał doszczętnie zniszczyć, a na jego
miejscu posadzić ten las — ojciec powiódł ręką po okolicy. — Ziemię daro-
wał dworzanom. Dokonał żywota w pustelniczej chacie. Dziś w tym miej-
scu stoi właśnie ta kapliczka — pokazał wzrokiem. Wyjął z kieszeni spodni
nożyce. — Usiądź na murku, zaraz cię ostrzygę... — poprosił, a gdy to zro-
biłem, zaczął ścinać moje długie, jasne włosy.

— To, co dziś zrobiłeś synku... Wiesz, ta pułapka na myszy... — mówił
ojciec, gdy wróciliśmy do domu — to było coś niezwykłego. To znak, jestem
tego pewien... Od dziś będę cię sposobił do twojej roli. Będziesz wielkim
władcą... Ja będę piastunem nowej dynastii... — mówił, a ja wyczułem od
niego woń alkoholu. Tego dnia, na targu w Łagowie, ojciec upił się po raz
pierwszy. — Ale najpierw musisz się wyzbyć swego dzieciństwa... — wy-
ciągnął przed dom mój ukochany wózek i pociął go siekierą na kawałki.

Stangret

— Pewien zbój, chcąc uchodzić za porządnego człowieka — popatrzy-
łem na Mrówka, a ten spuścił wzrok i gapił się na swoje podarte tenisówki
— za zrabowane pieniądze kupił zajazd z karczmą, ale nie przestał rabować
— ciągnąłem opowieść, starając się, żeby brzmiała dokładnie tak, jak ją usły-
szałem od swego ojca. — W zajeździe była okazała izba, przeznaczona dla

nocujących tu bogatych podróżnych, i karczma, leżąca przy uczęszczanej drodze, cieszyła się dużym wzięciem. Mało kto wiedział, że jednocześnie była ona miejscem spotkań bandytów.

— A dzisiaj to gangstery inacy robio? — zachnął się Mrówek. — Tyz udajo porzondnych handlorzy... To sie nazywo pranie brudnych piniendzy...

— Kiedyś w zajeździe zatrzymała się żona bogatego dziedzica, umówiona na spotkanie z mężem. Karczmarz zaprowadził ją do najlepszego pokoju. Kiedy kobieta modliła się wieczorem pod obrazem Matki Boskiej, wydało się jej, że święta do niej mrugnęła. Gdy zjawił się jej mąż, wspólnie obejrzelili obraz. Zamiast oczu były w nim dwa otwory. Dziedzic chwycił za pistolet, zerwał obraz i odsłonił korytarzyk w ścianie, którym przed chwilą ktoś uciekł. Okazało się, że „oczami Madonny” zbójce podglądali podróżnych, by później ich obrabować...

— Po co mi to opowiados? — Mrówek wzruszył ramionami.

— Bo ty jesteś taki sam zbój jak ten karczmarz. Jesteś skarbnikiem klasowym, a znów rąbnąłeś kasę na kwiatki dla wychowawczyni na koniec roku. Wcześniej ukradłeś pieniądze na prezent na Dzień Nauczyciela. Jestem przewodniczącym klasy — podkreślałem dumnie — i nie mogę na to pozwolić. Albo oddasz pieniądze, albo pójde z tym do dyrektora.

— Skąd ci wezne?

— Było nie kraść! — teraz to ja wzruszyłem ramionami, zdumiony bezczelnością Mrówka. — Rób, co chcesz, musisz oddać pieniądze, ja idę do domu! — założyłem na plecy tornister i poszedłem.

— Kto będzie jeszcze oprócz nas? — zapytałem, kopnąwszy kamyk.

— Mrówek, Mafia, może jeszcze Migdał — wyliczył Suchy i odkopnął kamyk na moją stronę drogi. Sunęliśmy po niej jak Boniek ze Smolarkiem, wspinały atak polskiej reprezentacji.

— Ciekawe, czy woda będzie ciepła? — martwiłem się. Rodzice nie pozwalali nam się kąpać w przykościelnej sadzawce przed nocą świętojańską. Straszyl nas topielicą, która miała w niej przebywać.

— Łoj, co to za różnica, zimno czy ciepło? — odparł Suchy buńczucznie. Kopnął kamykiem, który mu podałem, w nadbiegającego z hałaśliwym ujadaniem kundelka. Trafiony w mordkę, zachwiał się na krótkich nóżkach, zawrócił błyskawicznie i skowycząc żałośnie, zniknął w przydrożnych zaroślach tak szybko, jak się pojawił. Mój Anioł, który mi towarzyszył, pope-

dził za nim, poszczekując. Nigdzie nie mogłem się bez niego ruszyć. Mój prawdziwy Anioł Stróż.

Zarechotaliśmy radośnie i przybiliśmy sobie „piątkę”, jak po zdobyciu gola na meczu. Ostatnio nastrzelaliśmy Baćkowicom mnóstwo bramek. Do-
tąd rzadko współpracowaliśmy. Gdy graliśmy mecze „wewnętrzne”, w któ-
rych występowały chłopaki z naszej wsi, zawsze byliśmy w przeciwnych
drużynach. Wszyscy się kłócili, który z nas jest lepszym piłkarzem. Starałem
się nie ustępować mu kroku, chociaż miał znacznie lepsze warunki fizyczne
ode mnie. I mnóstwo czasu na treningi, bo nie zależało mu na nauce. Ja mu-
siałem często wymykać się na boisko przez okno.

— I co, bedziesz się poprawił z matematyki na piątkę? — nie dowierzał
Suchy. Jemu z matematyki groziła ocena niedostateczna. Nie przejmował
się tym zbytnio, mówił, że matka sprzeda parę kur i załatwi mu promocję
do drugiej klasy. Moja pogoń za średnią ocen pięć zero wydawała mu się
czymś nienormalnym.

— Tak, bo chcę być lepszy od Liubow... — zamyśliłem się. Tylko ona
dotrzymywała mi kroku w nauce. W naturalny sposób wyrastaliśmy na przy-
wódców dwóch obozów — chłopców i dziewczynek. Wiedziałem, że jej
władza będzie rosła — w klasie przeważały dziewczyny. Zostałem prze-
wodniczącym klasy, bo mnie Kargulowa wskazała. W następnym roku mia-
ły być wybory.

— Liubow to twarda sztuka... — docenił Suchy moją ukochaną. Nikt z kla-
sy nie wiedział, że mamy się ku sobie. Musieliśmy to ukrywać, bo nasze stron-
nictwa poczytałyby to za zdradę. — A jak tam twojo renka? — wypytywał.
Znów był moim kolegą, jak wtedy, zanim zaczął się przyjaźnić z Szefem.

— Paznokiec już mi odrósł — pokazałem mu dłoń. W naszej szkole, która
była stara, chyba jeszcze porosyjska, podłogi były z grubych, nieheblowa-
nych desek. Niedawno schyliłem się po długopis, który mi upadł. Niestety,
pod paznokiec wbiła mi się wielka drzazga i wyszła u jego nasady. Ból był
taki, że ledwie powstrzymywałem płacz. Suchy stwierdził, że powinienem
przyłożyć słoninki, to drzazga wyjdzie sama. Ja do niego, z wściekłością:
„Skąd ja tutaj wezmę słoninkę? Chyba z ciebie grubasie?”.

Żeby dotrzeć do sadzawki, musieliśmy minąć sklep spożywczy. Stało
pod nim kilku bywalców. We wsi plotkowano, że sklep zamierza kupić Ło-
bywatel, aktywista partyjny. Nikt nie wierzył, że uda mu się zapęłnić jego
wiecznie puste półki.

— Cześć, Mrówek! — przywitałem się ze skarbnikiem, który siedział ze spuszczoną głową na porośniętym sitowie brzegu sadzawki. Ksiądz hodował w niej ryby, bo uwielbiał wędkować. Kiedy czasem przychodziłem z matką rano po zakupy, widziałem, jak wraca znad sadzawki na plebanię. Szedł w wysokich gumowych butach, w jednej ręce miał wędkę, a w drugiej plastikowe wiadereczko z połowem.

— A gdzie Mafia i Migdał? — Suchy przywitał się z Mrówkiem i od razu zaczął się rozbierać do kąpielówek.

— Mafia nie przyjdzie, bo ma robotę w domu — Mrówek też się rozbierał, unikając mojego wzroku — a Migdał ma być za godzinę, ale wita, jaki łun jes. To co, pływomy?

— Tylko uważajcie na topielicę... — zażartowałem. — Nie ma jeszcze dwudziestego trzeciego czerwca...

— Dwudziestego trzeciego będzie koniec roku szkolnego — zamruczał Mrówek. — Jak się mój łojciec dowi, że łukrodem piniondze, to mnie som łutopi... — popatrzył wreszcie na mnie, jakby w poszukiwaniu pomocy.

Ale co mogłem zrobić? Nie miałem ani grosza, żeby mu pożyczyć. Dałem mu już raz, gdy ukradł składkę na Dzień Nauczyciela.

— Łutopi mnie... — powtórzył. Zawsze była w nim jakaś obsesja śmierci. Często uciekał z domu i sypiał na cmentarzu, w grobowcach. Mówił, że chce się w ten sposób przygotować do śmierci.

Obserwowałem, jak koledzy zaczęli się ścigać wzdłuż sadzawki. Bałem się wejść do wody — nie potrafiłem pływać. Żeby nie wyjść na całkowitego tchórza, wszedłem po kolana. Myślałem o topielicy. Podobno wabiła śpiewem chłopów wystających pod sklepem i wodziła ich dokoła stawu. Ludzie podążający rano do pracy w polu nieraz widywali nad stawem utapanych w błocie jak dzikie świny, mocno śpiących chłopów.

— Cego nie pływas? — zapytał kpiąco Suchy i śmignął wzdłuż sadzawki. Przychodził tutaj przez całe zeszłoroczne wakacje, nauczył się dobrze pływać. Mnie matka nie pozwalała chodzić nad sadzawkę. Czułem, że muszę się wyrwać spod jej nadmiernej opieki, bo wyrosnę na maminsynka. Ojciec bez przerwy powtarzał mi, że mam być odważny i przedsiębiorczy, bo tylko wtedy poradzę sobie w życiu. To dlatego wymknąłem się tu dziś.

— Czekam na Migdała... — odrzekłem, chociaż byłem przekonany, że nie przyjdzie. Stojąc nad brzegiem, spoglądałem na Mrówka. Wyglądał, jakby zupełnie zapomniał o swojej malwersacji. Takemu w życiu będzie łatwiej.

Zacząłem rozmyślać o związanych z sadzawką legendach. Na przykład o kościelnym dzwonie, który mieli tutaj zatopić carscy dragoni podczas powstania styczniowego za karę, że mieszkańcy naszej wsi pomagali powstańcom. Podobno niekiedy dało się słyszeć jego głos dobywający się z wody.

— Chłopoki, pomóżta, złapoł mie kurcz! — nagle krzyknął Suchy. — To chyba topielica mnie wciongo! — krzyczał. — Ała, tone! — syn sołtysa zanurzał się i wynurzał. Patrzyłem na to, nie wiedząc, czy się śmiać czy bać. Na szczęście w końcu Suchy przestał się wygłupiać i wypłynął na powierzchnię.

— Żartowałem! — cieszył się z kawału, jaki nam zrobił. — Przestraszyłyśta się, co? — był z siebie dumny. I popłynął na drugi brzeg sadzawki, w kierunku kościelnego muru.

— Tone! — krzyknął Mrówek, a ja się roześmiałem: Mrówek tak autentycznie zachłysnął się wodą, jeszcze lepiej niż Suchy. — Coś mnie wciongo pod wodę! — wrzeszczał, udając przerażenie, a ja tak się śmiałem, że musiałem trzymać się za brzuch.

— Pomóżta mi! — krzyknął, znów się zanurzając.

— Mrówek, przestań, bo umrę ze śmiechu! — krzyczałem do niego. Zniknął pod wodą. Zdołał się jednak wynurzyć.

— Pomocy! — jego twarz była jednym grymasem przerażenia. Wtedy zrozumiałem, że nie żartuje. Chciałem do niego biec, ale ni stąd, ni zowąd, pojawił się przy mnie Anioł. Chwycił mnie za spodenki i nie pozwolił dalej wejść do wody.

— Suchy, pomóż Mrówkowi! — krzyknąłem, widząc, jak syn sołtysa wychodzi z wody na drugim brzegu.

— Leć pod sklep po pomoc! — rzucił Suchy przytomnie i ponownie skoczył do wody.

Odwrociłem się na pięcie i popędziłem w kierunku sklepu. Anioł, poszczekując, gnał obok mnie. Pod sklepem stało kilku pijaczków.

— Mrówek się topi! — wrzasnąłem, trzęsąc się z zimna i ze strachu.

— Co? — Ajmsorry zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. Nie lubił mnie i mojego ojca. — Gdzie?

— W sadzawce! — wskazałem ręką kierunek, z którego przybyłem. — Topi się! — i już biegłem z powrotem. Kilku chwiejących się na nogach mężczyzn podążyło za mną. Kiedy przybyliśmy nad zbiornik, Suchy stał wśród sitowia. Płakał jak bóbr, których kiedyś było tutaj mnóstwo.

— Gdzie Mrówek? — zapytał Ajmsorry.

Suchy w milczeniu wskazał wodę, w której taflí odbijały się promienie zachodzącego słońca.

— Utopił się? — Ubekowi, który był ojcem chrzestnym Mrówka, z oczu trysnęły łzy. — Ni może to być! — szykował się do skoku w topiel.

— Za bardzoś pijany! — powstrzymywał go Ajmsorry. — Som sie jesce utopis! Trza zadzwonić po straż! — zarządził.

— Przecie to my ześmy strażowi! — przypomniał mu Ubek, rozglądając się po pozostałych: wszyscy należeli do lokalnej ochotniczej straży pożarnej.

— Topielica wciongnyła Mrówka... — wyszczał zębami Suchy, a wszystkich przeszedł lodowaty dreszcz. Anioł zaczął wyć przeraźliwie.

W nocy miałem sen. Widziałem, jak z sadzawki wyjeżdża wspaniały powóz, zaprzężony w parę rączych siwków. Karetą powoził Mrówek, ubrany w złoconą liberię. Strzelił z bata i pomachał ku mnie przyjaźnie ręką. Wyglądał na uradowanego, że udało mu się uniknąć odpowiedzialności za zdefraudowane pieniądze.

Kosmos

— Suchy, a ty masz dużo grzechów? — zapytałem największego łobuza w szkole. Staliśmy w kolejce do spowiedzi przed I komunią świętą. Dziewczyny ustawiły się w szeregu po drugiej stronie konfesjonału. Ksiądz spowiadał nas na zmianę. Wszyscy byliśmy bardzo skupieni, bo obawialiśmy się, że ksiądz pozna nasze dusze.

— Troche mom — odpowiedział szeptem, przejęty. — Z pinć naliczyłem...

— Tylko pięć? — zdziwiłem się. Ja na swojej karteczce wypisałem z siedemdziesiąt. — To niemożliwe! — niedowierzałem. No bo jak to, ja, niewiniątko, mam aż tyle, a ten grzesznik tylko pięć?

— Ino tyle pamientom... — wyłgał się. — Jakby co, to powiem, że wienicy nie pamientom... Przecie mogem zapomnić?

Dałem mu spokój i zerknąłem w stronę dziewcząt. Moja Liubow była najładniejsza. Gdzież tam do niej było dziewczynom z Wszachowa, które razem z nami przygotowywały się do pierwszej komunii. Albo tym z Piotrowa — co za brzydule!

Po spowiedzi miałem iść do Liubow w odwiedziny.

Przyszła moja kolej. Powiedziałem kilka formułek i wyznałem długą listę swoich drobnych i wielkich grzechów.

— A jaka była księdza pierwsza spowiedź? — zapytałem na koniec.

— Wiesz, spowiadał mnie proboszcz, który był biskupem i nie wiedział, jak rozmawiać z dziećmi. Przy każdym grzechu pytał mnie, ile razy. Kto to jest w stanie zapamiętać? Strzelałem więc, ile mogłem. Potem dostałem jakąś straszną pokutę, chyba różaniec, nawet nie pamiętam, czy ją odprawiłem. Ja bym największemu grzesznikowi takiej pokuty nie zadał! Czasem dzieci tak się straszy spowiedzią, że siusiąją przy konfesjonałach. A dziecko powinno się cieszyć na spowiedź. Lepiej byłoby spowiadać dzieci w pokoju ze stołem nakrytym białym obrusem, z krzyżem na ścianie. Dobrze, dość już tego spowiadania się — zreflektował się. — Rozgrzeszam cię... Idź i nie grzesz więcej... — zrobił znak krzyża i dał mi stulę do pocałowania.

Ruszyłem do klęcznika przed ołtarzem. Po drodze myślałem o księdzu. Lubilem z nim rozmawiać po lekcjach religii. Znałem go dobrze, bo moja matka często chodziła do kościoła. Na wszystkie moje pytania odpowiadał z powagą. Na przykład kiedyś zapytałem go, co by było, gdyby zakonnica urodziła dziecko. Odrzekł, że powinna wystąpić z zakonu i wychować je.

Pomyślałem o mojej matce. Pomagała mi zrobić rachunek sumienia. Zadawała mi pytania, a ja w myślach miałem sobie odpowiedzieć, czy popełniłem dany grzech. Potem kazała mi się przeprosić za wszystkie moje grzeszki, a następnie mnie przytuliła — żebym poczuł, co to jest przebaczenie.

„Idź i nie grzesz więcej...” — myślałem, klękawszy, żeby odmówić pokutę. — Łatwo powiedzieć. Nie mogłem tego obiecać. Czułem, że po tej spowiedzi coś się zmieniło.

Z kościoła wyszedłem z Liubow. Minęliśmy Szefa, który przyszedł po Suchego. Znowu trzymali się razem.

— Ciężką ci zadał ksiądz pokutę? — popatrzyłem na Liubow, która wydawała mi się coraz piękniejsza, wyglądała jak mały aniołek.

— Litanię loretańską... — odrzekła z przejęciem. — A tobie?

— Mnie też! — czułem powinowactwo w grzechu. Dotąd sporo razem nagrzeszyliśmy. — Ciekawe, jakie prezenty dostaniemy? Wczoraj przyjechali wujek i ciotka z Krakowa, z Nowej Huty, i przywieźli jakiś duży pakunek... — cieszyłem się.

Szliśmy tak, rozmawiając. Tymczasem Szefo i Suchy szli za nami.

— Głupia Ukrainka! — krzyknął Szefo.

Liubow spochmurniała. Niektóre dzieciaki w szkole tak na nią wołały. Biłem je za to. To dlatego miałem taką długą listę grzechów.

— Zamknij się! — odkrzyknąłem.

— Nie zwracaj na niego uwagi... — poprosiła cicho Liubow, a w jej oczach pojawiły się łzy.

— Babski król! — wrzasnął Szefo. Ruszyłem za nim i szybko go dopędziłem. Po chwili już leżał na ziemi.

— Babski król! — darł się, mimo że okładałem go pięściami.

— Jeżeli już, to książę! — dusiłem go, a on wił się jak mała żmijka. — A teraz przeproś Liubę! No, przeproś! — byłem wściekły. Kiedy ktoś atakował moich bliskich, byłem gotów zabić. — Przeproś! — naciskałem Szefa, który prawie się rozplakał. Spoglądał na Suchego wytrzeszczonymi oczyma. Ten czuł przede mną zabobonny lęk i ani drgnął. Zawsze podpowiadałem mu na lekcjach, trzymałem go teraz w szachu... Może trafniej byłoby: w garści, bo nie znoszę gry w szachy, wolę warcaby lub karty.

Liubow płakała. Nie lubiłem patrzeć na kobiece łzy! Mama zbyt często płakała z powodu ojca. „Mamo, dlaczego ty nie wyszłaś za mnie, tylko za tatę!? — złościłem się pewnego razu, gdy miałem kilka latek. — Ty jesteś taka dobra i ładna... Dlaczego nie poczekałaś? Gdybym urosł, to bym się z tobą ożenił!”. Obiecałem sobie, że jeśli kiedyś będę miał żonę, to będę się o nią troszczył, słuchał, co ma do powiedzenia. Będę najczulszym, najlepszym, najbardziej opiekuńczym mężem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi! Moja żona nie może cierpieć tak jak moja matka!

— Głupia Ukrainka? Zatłukę cię! Przeproś!

Szefo wreszcie wystękał przeprosiny. Puściwszy go, podszedłem do Liuby i wziąłem ją za rękę.

— Więcej nie będzie... — powiedziałem, zaglądając w jej piękne oczy. Była moją Różą, tak ją nazywałem po lekturze *Małego księcia*. — Nigdy więcej, pamiętaj! — krzyknąłem, obserwując, jak Suchy pomaga swojemu Szefowi podnieść się z ziemi. Wiedziałem, że mój sąsiad nigdy nie zapomni tego upokorzenia. Jego ojciec był bogaty i Szefo za jego pieniądze kupował sobie szacunek. We wsi jeszcze tylko mnie nie zdołał przekupić.

Kiwnąłem głową na powitanie panu Saszy, który właśnie skądś wrócił.

— Wyrzeźbił pan coś nowego?

Ojciec Liubow był zaradnym człowiekiem. Zaraz po sprowadzeniu się do Polski zajął się świniołowem i niebawem cała wieś zaopatrywała się u niego w smaczne wyroby. Ale był także zdolnym malarzem i rzeźbiarzem — zajmował się sztuką ludową. Byłem wielbicielem zarówno kielbasy wędzonej na dębowym drzewie, jak i wyrzeźbionych przez niego z drewna świętych, aniołów i zwierząt.

Uśmiechnął się do nas. — Chodźcie, coś wam pokażę — kiwnął na nas ręką. Podążyliśmy za nim do drewnutni. — Jak było na spowiedzi, córciu? — zapytał swoją śpiewną polszczyzną, znaną mi z filmów o Szczepku i Tońku. — Dostałaś ciężką pokutę? — popatrzył na córkę troskliwym wzrokiem.

— Nie... — uśmiechnęła się Liubow i posmutniała. Na ojca spoglądała z jakimś lękiem. Zdziwiło mnie to, bo przecież dotąd go uwielbiała.

— Zacząłem malować kosmos — wskazał wielkie płótno. Było zamalowane na granatowo ze złocistymi punkcikami. — Spójrzcie. To planety, gwiazdy, komety. Niby próżnia jest bezbarwna, a przecież niebieskość jest na niebie... — zamarł wpatrzony w swój obraz. W drewnutni znajdowało się mnóstwo jego dzieł. Były wykonane jakby z zamierzoną niestarannością. „Kosmos” był jednak zupełnie inny. — Niedawno to w sobie odkryłem...

Patrzyłem na złociste punkciki i zastanawiałem się, który z nich przedstawia planetę Małego Księcia, o którym niedawno czytałem.

— Idźcie coś zjeść — powiedział w końcu pan Sasza, bo z domu wyszła matka Liubow.

Gdy szliśmy w stronę domu, rozmyślałem o ojcu Liubow. Jego przedsiębiorczość szybko zaczęła budzić zawiść miejscowych. No bo jakże to, ukraiński biznesmen prosperujący w Polsce. Im się nie chciało pracować, niedosypiać, ryzykować. Łatwiej było się upijać. Dodatkowo raziło szlacheckie pochodzenie pana Aleksandra. Zwłaszcza Ajmsorry był tym poruszony. Wywodził swe korzenie od husarza Sobieskiego. Nie wspomnę już o moim ojcu, potomku wiślańskich książąt. Jeżeli w żyłach ojca Liubow płynęła szlachecka krew, to musiała to być krew sołtysa lub kupca, który nabył nobilitację za pieniądze. Znacznie łatwiej było uwierzyć w szlacheckie urodzenie Ajmsorrego — te jego dwie lewe ręce do roboty, buńczuczność, chępliwość. No i w arystokratyczny rodowód mojego ojca — ta jego wiecznie zadarta głowa, nawet wtedy, gdy wracał chwiejnym krokiem spod sklepu.

— Przyprowadziłaś kolegę? — ucieszyła się pani Bogna, uśmiechając się dobrotliwie, bo bardzo mnie lubiła. Często powtarzała, że kiedyś ożenię się z jej córką. — Zjecie coś? — uśmiechała się coraz szerzej, gdyż wiedziała, że zaraz rzucimy się na jedzenie, a bardzo lubiła gotować. Jej dania może nie były zbyt zdrowe, bo wszystko okraszała tłuszczem i śmietaną, ale za to bardzo smaczne.

— Chętnie! — wykrzyknęliśmy z Liubow prawie jednocześnie. Zjedliśmy po talerzu ukraińskich pierogów. I to chyba przez kuchnię Ukraina tak bardzo weszła w moją krew, że zapragnąłem tam kiedyś wyruszyć. Mimo polskości w sercach rodzice Liubow nasiąknięci byli inną kulturą. Bliżej im było do Bizancjum niż do Rzymu.

— Było bardzo smaczne, dziękuję! — wstałem od stołu. Moja matka była zazdrosna, że wolę kuchnię mamy Liubow od jej gotowania. Dlatego przestałem jej opowiadać, czymże to smakowitym zostałem poczęstowany u państwa Łukowskich. I musiałem zjadać również to, co ona dla mnie przygotowała. Gdybym nie uganiał się za piłką, byłbym małym grubaskiem.

— Idziemy się uczyć, mamó — Liubow wstała od stołu i ruszyła do swego pokoiku na poddaszu. Wchodziliśmy tam po drewnianych, skrzypiących schodkach. Pan Sasza remontował dom odziedziczony po swojej babci, ale trzeba było jeszcze wielu zabitych świń, żeby zakończyć odbudowę. Planował, że wówczas sprzeda dom i działkę i przeniesie się w inne miejsce. Bo tutaj czuł się coraz bardziej zaszczuty. Nie chcieliśmy z Liubow dopuszczać jego słów do świadomości.

— Ile razy mi dziś pokażesz? — zapytałem, mimo że dopiero co spowiadałem się z tego w konfesjonale. Ksiądz na długo zamilkł, gdy mu o tym powiedziałem. Nie mogłem się doczekać, kiedy Liubow podwinie sukienkę, a następnie ściągnie majteczki.

— Pokażę albo nie pokażę... Ksiądz powiedział, że nie wolno nam tego robić... — zachnęła się. I ona z tego się spowiadała. Byłem wściekły na księdza, na religię! Ta zabawa w pokazywanie, jak to nazywaliśmy, uzależniła mnie od Liubow. Ona doskonale o tym wiedziała i zręcznie wykorzystywała. Pierwszy raz zrozumiałem, że kobiety potrafią kokietować, a potem wycofywać się w ostatnim momencie.

— Bawiliśmy się tak od przedszkola... — W oczach miałem łzy. — Dlaczego teraz nie chcesz?

— Pokażę albo nie pokażę... — z uporem maniaczki droczyła się ze mną,

zdejmując majtki i znów je podciągając. Zdenerwowany, wyszedłem z jej pokoju i ruszyłem do domu. Z drewnutni patrzył na mnie pan Sasza.

— Idziesz już? — zdziwił się.

— Liubow już mnie nie lubi... Chyba podoba się jej ktoś inny... — zmartwiłem się.

Pan Sasza spuścił wzrok i wrócił malować swój kosmos. Opuściłem podwórkę i ruszyłem drogą przez wieś. Napotkałem Suchego. Strzelał z procy do wróbli. W odróżnieniu od Liubow nie przejmował się spowiedzią.

Bazylówka

— Zostawcie ją! — krzyknął ojciec do Bazylów, którzy okrążyli starą Jankowską pośrodku drogi przez ich wieś. Wśród śmiechu udało im się zabrać jej wielkie naręcze ziół, mimo że dzielnie opędziała się kosturem.

— Czarownica! — wrzeszczeli Bazyle, jeden przez drugiego. Wszyscy byli prawie jednakowi, jakby sklonowani — wysocy, przygarbieni, o odstaających uszach, długich, skudłaconych włosach, wyblakłych oczach. Może to dlatego, że od wieków ludzie z ich wsi żenili się głównie w jej obrębie. Podobno dawno temu ich przodkowie przybyli tutaj jako osadnicy ze szwajcarskiej Bazylei.

— Bazyle! — urągała im Jankowska. Nazwanie kogoś Bazylem uchodziło w naszej okolicy za straszliwą obelgę. Słowo to było synonimem głupoty i bezmyślnej złośliwości.

— To jest czarownica! — upierał się jeden z wyrostków. — Nazbierała ziele w nocy, wczoraj było świętego Jana... Uroki będzie odczyniała... Trzeba jej gnoty połamać! — zarechotał, a wszyscy inni mu zawtórowali.

— Na moje choroby ziółka zbierałam! — krzyknęła Jankowska. — Swoimi sprawami się zajmijta! Nic nie robita, a pola wom lasem zarostajo! Albo domy byśta se nowe postawiły — wskazała wzrokiem w kierunku rozwalających się chałup. — A wom ino pijaństwo i głupoty w głowach!

— Oddajcie babce zioła, to moja sąsiadka! — zniecierpliwił się mój ojciec. Bazyle zlekli się jego groźnej miny i uciekli. Ziół jednak nie oddali.

— I cym jo tero bende sie leczyła, jak zima przydzie? — biadoliła starsuszka. — Chyba trza mi umrzeć bendzie... — załamała ręce. Szybko jednak rozpacz w jej oczach ustąpiła miejsca wściekłości. — Żeby wos pioruny ubiły! — krzyknęła w ślad za uciekającymi. — Nie daruje wom tego!

— wygrażała kosturem szydzącym z niej z oddali Bazylom. Pozostało jej podreptać do domu.

Pomogłem ojcu założyć worek z makiem na plecy i ruszyliśmy w drugą stronę — na Święty Krzyż. — Stara Jankowska naprawdę jest czarownicą? — zapytałem nieco bojaźliwie.

— Tak ludzie gadają. To się zaczęło jeszcze przed wojną. Jankowska pracowała jako gospodyni na folwarku w naszej wsi. W każdą sobotę wieczorem przychodził do niej zazdrosny o nią parobek, ojciec Ubeka. Udając, że śpi, zauważył, jak Jankowska smaruje się pod pachą jakąś maścią, dosiada miotły i wylatuje kominem. Żeby się samemu przekonać o czarodziejskich właściwościach maści, wysmarował się cały i wszedł na miotłę. Z szybkością błyskawicy znalazł się na Łysicy, wśród biesiadujących z diabłami wiedźm. Gospodyni, rozeźlona ciekawstwem Ubekowego ojca, uspiła go i zaniósła do piwnicy bogatego kupca w Kielcach, gdzie właśnie tej nocy złodzieje skradli spory zapas wina. Strażnicy pojмали nieszczęsnego parobka. Wtedy przypomniał sobie, że ma jeszcze trochę maści czarownicy — posmarował się nią i po chwili, porwany wiatrem, wrócił do domu. Nigdy więcej nie zbliżał się do Jankowskiej.

Rozmawiając tak, doszliśmy do Nowej Słupi. Odtąd droga wiodła coraz bardziej pod górę, a ojciec musiał coraz częściej odpoczywać.

— Następny przystanek pod posągiem Emeryka... — wysapał ojciec.

— Jak on się tutaj znalazł? Ten Emeryk... — zapytałem, spoglądając na grubo ciosany posąg mnicha, stojący u podnóża Świętego Krzyża. Krążyło o nim mnóstwo legend.

— Do Polski zaprosił go Bolesław Chrobry, który przyjaźnił się z jego ojcem, królem Stefanem... — mówił ojciec powoli, jakby pragnął, żebym nie uronił ani jednego słowa z jego opowieści. A może po prostu był zmęczony tym dźwiganiem ciężkiego worka. Zakonnicy potrzebowali maku do wypieku smacznych kołaczy, które były rarytasem dla turystów. — Przed podróżą — ojciec odetchnął, usiadłszy na worku — król zawiesił na szyi Emeryka oprawione w złoto relikwie Świętego Krzyża. Po przybyciu do Polski młodzieniec został zaproszony przez polskiego władcę na polowanie w bory łysogórskie. Dziesiątki rycerzy, setki naganiaczy i sfory ogarów ruszyły w knieje. Emeryk, który podążał ku najwyższym górom, wśród leśnej gęstwiny zauważył niezwyklej wielkości jelenia. Goniąc za zwierzęciem przez leśne ostępy, znacznie się oddalił od swojej drużyny. W pewnej chwili

rozłożyste rogi jelenia zaplatały się w gęstych zaroślach. Uradowany królewicz wyszarpnął z kołczana strzałę, napiął cięciwę łuku i wycelował. Nagle ze zdziwieniem dostrzegł między wieńcami rogów świetlisty krzyż — mówił ojciec, a ja zrozumiałem, że Święty Krzyż będzie się przewijał przez całe moje życie.

— I co z tym jeleniem?

— Pomóż mi zarzucić worek — poprosił ojciec. Ukląkł na jedno kolano, a ja ze wszystkich sił popchnąłem worek do góry. Ojciec był niby Syzyf, który musiał przez całe życie taszczyć swój ciężar na szczyt góry. Mimo że byłem jeszcze bardzo młody, próbował mi już ten ciężar przekazać.

— Jeleń zniknął w zaroślach — postękiwał ojciec, ciągnąc swoją opowieść. — Królewicz zadał w róg, żeby przywołać innych myśliwych. Odpowiedziało mu tylko echo. Zagubiony, zmęczony i głodny syn węgierskiego króla zsiadł z wierzchowca. Nagle zrobiło się jasno od potężnego blasku i przed młodzieńcem zjawił się anioł... Anioł, przestań — zrugął ojciec naszego kundelka, który usłyszawszy swoje imię, zaczął skakać ojcu po nodze. — Emeryk się przeżegnał. Wtedy anioł... Zabierz ode mnie tego kundla! — zdenerwował się ojciec. Odpędziłem pieska, który uciekł pomiędzy drzewa i obrażony szedł teraz w pewnej odległości od nas. Potrafił się tak obrazić i przez cały dzień nie jeść.

— I co z tym aniołem? — dopytywałem się.

— Powiedział Emerykowi, że wskaże mu drogę do ludzi, którzy udzielą mu pomocy. W zamian kazał mu zostawić tam to, co ma ze sobą najcenniejszego. Doprowadził królewicza do drewnianego klasztoru na szczycie góry i zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. Mnisi zaopiekowali się przybyszem. Młodzieniec nie zapomniał o zaleceniu anioła — po kilku dniach ruszył na Łysą Górę, żeby pozostawić w skromnym klasztorze relikwiarz Świętego Krzyża. Bolesław Chrobry, uradowany podarunkiem siostrzeńca, wybudował wiele lat później godny takiej relikwii kościół wraz z klasztorem. Z czasem Łysą Górę, na której wznosiły się klasztorne zabudowania, zaczęto nazywać Świętym Krzyżem, a góry wokół — Świętokrzyskimi... Co nigdy mi się nie spodobało. Ależ to ciężkie... — ojciec zrzucił worek na kamienistą ścieżkę. — Łysa Góra była kiedyś miejscem oddawania czci starym bogom... Lud z całej okolicy ściągał tutaj tłumnie, żeby się modlić i składać ofiary... Podobno pod koniec siedemnastego wieku w czasie kucia skały w pobliżu kościoła na Świętym Krzyżu znaleziono osypany węglem

posąg starego bożyszcza — mówił ojciec, ciężko dysząc. Byliśmy już blisko ułożonej z kamienia dróżki, która wiodła prosto na szczyt. Ponoć kiedyś była zbudowana z modrzewiowych pni — żeby mógł po niej wejść Władysław Jagiełło, udający się na bitwę z zakonem krzyżackim.

— Czyli to Bolesław Chrobry sprowadził tutaj tych zakonników, do których dzisiaj idziemy? — zapytałem. Myślam byłem przy Jankowskiej. Żał mi było babki. Nie dość, że znęcała się nad nią córka dewotka, to jeszcze napadli ją Bazyle. Może te zioła naprawdę potrzebne jej były w celach leczniczych? Przecież kiedyś, gdy miałem parę lat, to specyfiki Jankowskiej uratowały mi życie, a nie medykamenty lekarzy z Opatowa.

— Nie, tamci to byli benedyktyni, a ci, to oblaci. Chrobry umocnił tutaj chrześcijaństwo, ale to było zwieńczenie pracy Mieszka I. Gdy Mieszko wiozł z Czech Dobrawę, przejeżdżał przez Góry Świętokrzyskie. Książęcej parze towarzyszyli rycerze, duchowni i służba. Gdy zapadł zmierzch, podróżni postanowili przenocować w kącinie* na Łysej Górze. Ponieważ był to czas miodobrania, a w dodatku podróżni byli obcy, strażnicy świątyni napadli na nich. Podczas walki jedna ze strzał ugodziła Dobrawę, druga utkwiała w krzyżu niesionym przez zakonnika. W tym momencie dał się słyszeć straszliwy huk — to potężny wstrząs zniszczył kącinę, grzebiąc jej kapłanów. W tym miejscu utworzyło się gołoborze, pójdziemy tam dzisiaj, jak sprzedamy mak braciszkom. Chodź, idziemy, pomóż mi... — poprosił.

Znów pomogłem mu założyć ciężar na plecy i szliśmy.

— Gdyby nie Mieszko, Wiślanie zbudowałiby państwo równie silne jak plemię Polan... — mówił ojciec z przekonaniem. Słuchałem go uważnie, chociaż woń alkoholu, która od niego biła, wywoływała moją nieufność. — Poganie uciekli, a poturbowany orszak książęcy zatrzymał się pod szczytem Łysej Góry. W nocy zerwała się burza. Słysząc w niej było jakieś krzyki, jęki, szlochanie. Nazajutrz Dobrawa zwróciła się do męża, żeby wzniósł kapliczkę, w której chciała podziękować Panu za ocalenie i pomodlić się o narodziny syna, władcę tworzonego przez Mieszka państwa. I tak się rzeczywiście stało... — dyszał ojciec, wchodząc pod górę. Pomagałem mu, jak mogłem, żeby się nie przewrócił. — Ty też będziesz wielkim władcą, zobaczysz... — majaczył ojciec w swym pijackim za-

* Budowla sakralna Słowian.

mroczeniu. — Będiesz władał księstwem, które stworzysz, pod które ja wzniosę podwaliny...

— A będę tak potężny jak Bolesław Chrobry? — dopytywałem. Coraz bardziej podobała mi się perspektywa tej wiślańskiej monarchii. Już widziałem oczyma wyobraźni pałac stojący na miejscu naszego starego domu.

— Pewnie, że tak. Bolesław Chrobry podbił ostatecznie naszych przodków, ale ci raz po raz wypowiadali mu posłuszeństwo. Pewnego razu, nagromadziwszy żywności i broni, założyli obóz na szczycie góry — ojciec powiódł wzrokiem po miejscu, które obecnie miało charakter turystyczny. Jakoś łatwo mi było sobie wyobrazić, że trzaskały tutaj ogniska, a lud śpiewał pogańskie pieśni. — Na tym wale — wskazał ojciec — ustawili liczne straże. We wzniesionej na nowo kępcinie oddawali cześć starym bogom. Nie poskutkowały wezwania do przyjęcia wiary chrześcijańskiej, więc Chrobry ruszył na Łysą Górę ze swą drużyną — ojciec położył worek maku na kamieniu. Wyglądał, jakby przeniósł się duchem w czasy, o których opowiadał. Jakby chciał być jednym z tych zbuntowanych Wiślan.

— Kiedy ekspedycja przybyła na miejsce, miało się ku zimie. Na pokrytych lodem zboczach ślizgały się konie i ludzie. Paganie drwili z wojaków Chrobrego, że Bóg nie chce im pomagać. Szydzili, że jeśli chociaż jeden z rycerzy wjedzie na szczyt, stoczy pojedynek i go wygra, to wszyscy się poddadzą. Oblężenie się przedłużało. Wśród wojów Chrobrego zaczęło się szerzyć niezadowolenie. Brakowało żywności — trzeba było wyprawiać się po nią aż do Żmigrodu, czyli obecnego Opatowa. Pomiedzy rycerzami był Emeryk — mówił ojciec, rozglądając się po okolicy. Z miejsca, w którym staliśmy, rozpościerał się widok na podnóże gór. Miałem go zapamiętać na zawsze.

— Emeryk? — zdziwiłem się. — Przecież on został zaproszony do Polski znacznie później? — patrzyłem na ojca. Zbliżaliśmy się do klasztoru.

— Tak mówią nasze legendy rodowe — odrzekł bez zawahania i ciągnął: — Emeryk snuł się po puszczy, zastanawiając się, jak zdobyć szczyt. I wtedy usłyszał odgłos kowalskiego młota. Dotarł do kuźni stojącej obok dymarek, czyli pieców hutniczych. Kował, któremu zwierzył się ze swego zmartwienia, zrobił podkowy dla Emerykowego rumaka. Uradowany młodzieniec na oczach wszystkich — wjechał na obludzoną górę! Zwyciężył swego przeciwnika, ale nasi przodkowie się nie poddali. Wtedy król kazał podkuć konie całej swojej drużyny. Jego woje wdarli się na szczyt góry, pokonali pogan

i zburzyli kację. Wiele lat później, kiedy Chrobry był już władcą znanym w całej Europie, przyjacielem cesarza Ottona III, zbudował klasztor i kościół na szczycie góry...

— A naprawdę są w nim złożone relikwie Krzyża Świętego? — dopytywałem się, kiedy ruszyliśmy w jego kierunku. — Te, które przywiózł Emeryk?

— To prawda. Tam, gdzie niesiemy mak... Z posągiem Emeryka wiąże się jeszcze jedna legenda. Podobno wędruje on na szczyt góry. Posuwa się o odległość wielkości ziarnka maku na rok. Kiedy wejdzie na szczyt, nastąpi koniec świata... Zapamiętaj: gdy kiedyś będziesz miał dość tego świata, wystarczy że przewieziesz posąg na Święty Krzyż...

Rozległ się tak straszny grzmot, aż ojciec upuścił worek na kamienie. Wór pękł i mak rozsypał się dookoła. Anioł zaskowytał i uciekł z piskiem. Lunęło jak z cebra. Ledwie dobiegliśmy do klasztoru.

— Czarownice się zloszczą, słyszysz, jak wyją? — zapytał ojciec, gdy ochłonął z nerwów, że upuścił worek tak blisko celu. Niesienie worka taki kawał drogi było swego rodzaju pokutą, jaką obrał sobie za pijaństwo.

Patrzyłem na puszcę, nad którą szalała nawałnica. Ucichła tak niespodziewanie, jak się pojawiła.

Do domu wracało się nam znacznie szybciej, bo ojciec nie niósł już ciężaru i zśliśmy z góry. Gdy dotarliśmy do Bazylówki, nie wierzyliśmy własnym oczom. Nie ocalał ani jeden dom! Cała osada zniknęła z powierzchni ziemi, zostały tylko strzepy desek. Nad Bazylówką musiała przejść trąba powietrzna. Może zaniósła jej mieszkańców tam, skąd przed wiekami przybyli ich przodkowie — do Bazylei?

Skarby

Mój powrót do domu był triumfalny. Cieszyłem się, jakbym wrócił z wyprawy wojennej, objuczony łupami. Musiałem się spieszyć, żeby coś zjeść, bo byłem umówiony z chłopakami.

— Popatrz, mamó! — cieszyłem się od progu, odpędzając Anioła, który usiłował podskoczyć, żeby polizać mnie po ręce. — Wygrałem dwa turnieje! „Sokole Oko” i „Ringo”! A Suchy nic nie wygrał. Tylko trzecie miejsce w slalomie rowerowym zajął. Mam dwa dyplomy. I czołg! I Siuksów! — wyliczałem z wypiekami na twarzy. W oczach matki była duma.

— Dyplomy i zabawki! — sarknął ojciec, znów podpity. — Pieniędzy ci powinni dać! — rzucił i nawet nie zerknął na moje nagrody. Wyszedł z kuchni. Nie rozumiałem tego. Zamiast mnie wspierać, jak dotychczas, zdawał się zazdrościć mi sukcesów. Przecież kiedyś pragnął, żebym osiągnął to, co jemu się nie udało.

— Liubow wygrała bieg na sześćdziesiąt metrów! — mówiłem do matki, przestając zwracać uwagę na ojca. Nie to nie, sam sobie poradzę. — I też dostała dyplom! — cieszyłem się sukcesem mojej Róży.

Siadłem przy stole, a matka zaczęła mi robić kanapki i herbatę, bo po całym dniu byłem jeszcze głodny i chciało mi się pić.

— Jak to wszystko wyglądało? — dopytywała się matka, krojąc chleb i smarując masłem. Kładła na to kawałki polędwicy, którą kupiła od ojca Liubow. To była nagroda godna zwyczajcy — polędwica rzadko gościła na naszym stole, zwykle była mortadela.

— W „Sokolim Oku” trzeba było z kilku metrów trafić piłeczką tenisową w znak drogowy. Były trzy kolejki, zdobyłem najwięcej punktów. Na piętnaście rzutów tylko dwa miałem niecelne. Konkurs „Ringo” był trudniejszy. — Pochłaniałem na bieżąco kanapki, które kładła przede mną matka na talerzyku i popijałem herbatą. — Trzeba było trafić ringiem na jeden z trzech palików, ustawionych w różnej odległości. Za pierwszy palik — najniższy — jeden punkt. Za ostatni — najdalszy i najwyższy — pięć punktów. Też trzy serie rzutów, po trzy rzuty w serii... — opowiadałem o konkurencjach rozgrywanych podczas Dnia Sportu połączonego z Dniem Dziecka, który w naszej szkole zorganizował nowy wuefista, pan Borsuk.

— I jak ci poszło? — dopytywała matka.

— Po dwóch rundach prowadził Suchy, ja byłem drugi. On miał osiem punktów, ja siedem. W trzeciej rzucił przede mną. Tak się stremował, że nie zdobył ani jednego punktu. Ja pierwszy rzut oddałem za jeden punkt — i już był remis. Do wygranej potrzebowałem już tylko jednego punktu.

— Oczywiście rzuciłeś za jeden — matka dobrze już знаła moją strategię. Brawura łączyła się tutaj z wyrachowaniem.

— Tak, i trafiłem bezbłędnie. Ostatni rzut nie miał już znaczenia. Zaryzykowałem próbę za pięć punktów i udało się! Wygrałem z Suchym czternaście do ośmiu!

— Suchy pewnie się zdenerwował? — matka zrobiła mi drugą herbatę, bo strasznie chciało mi się pić.

— Pewnie, bo przegrał ze mną w „Sokolim Oku” i teraz chciał się odegrać. A nauczyciele byli zdziwieni, bo dotąd myśleli, że jestem tylko dobrym uczniem... Wiesz, nie tylko Suchemu te moje sukcesy się nie spodobały — zauważyłem, że zwycięstwa rodzą zawiść.

— Nie przejmuj się tym — matka popatrzyła na mnie troskliwie.

— Łatwo powiedzieć... — rzuciłem Aniołowi, który drapał mnie łapką po kostce, kawałek połędwicy; niech i on ma chwilę radości. — Ja nie zadościłem Tołdiemu zwycięstwa w biegu przełajowym. Biłem mu brawo, gdy dostawał dyplom, a Suchy gwizdał. My z Suchym nie mogliśmy biec, bo wtedy rzucaliśmy ringiem. Pewnie wygralibyśmy z Tołdim.

— Tak już jest... — matka wyglądała, jakby miała ochotę mnie przytulić. Od pewnego czasu nie pozwalałem jej na to — nie chciałem, żeby zobaczył to któryś z kolegów, jeszcze by się ze mnie nabijali. Kiedyś jeszcze nie raz zatęsknię, żeby ukryć się w jej bezpiecznych ramionach.

— A ojciec znów jest pijany... — stwierdziłem. — Dlaczego on się nie cieszy? — zapytałem, podnosząc się od stołu.

— Nim też się nie przejmuj. Wiesz, mamy ciągle kłopoty z bankami... Ojciec nie radzi sobie z tym wszystkim... Nie myśl o tym, zwyciężaj.

Zabrałem nagrody i poszedłem do swego pokoju. Poustawiałem Siuksów na regale, obok rzymskich legionistów i żołnierzy z drugiej wojny światowej. Miałem też spory zastęp legionistów Napoleona i hufiec rycerzy. To chyba ze względu na dziadka partyzanta lubiłem wszystko, co było związane z wojną. Uwielbiałem również zabawy w wojnę — prawie każdego popołudnia bawiliśmy się w nią w wózcie Grabowa. Dziś też tam się wybierałem. Dyplomy ustawiłem w barku — był pusty, bo matka nie chciała, żeby stał tutaj jakikolwiek alkohol, ojciec zaraz by go wypił.

Moje księstwo robiło się coraz potężniejsze i rozleglejsze. Po sukcesach w nauce przyszły te w sporcie. Chciałem stworzyć prawdziwe świętokrzyskie imperium, zostać władcą tak potężnym jak Bolesław Chrobry.

— Ja będę Jankiem Kosem! — upierałem się, gdy szliśmy się bawić do Grabowej. Ludzie dawno temu wycięli porastające niegdyś wąż graby, obecnie był porośnięty dzikim bzem i karłowatymi brzoškami. Nie był rozległy ani głęboki, ale miał mnóstwo zakamarków, bo kiedyś wydobywano tutaj glinę, z której wypalano cegły. Wyrobiska świetnie nadawały się do naszych zabaw, chociaż nie były bezpieczne, bo czasem zdarzały się obsunięcia gruntu.

— Chcę być Kosem! — powtórzyłem, mimo że nikt zbytnio się nie sprzeciwiał. Byłem do młodego Gajosa bardzo podobny, a ponadto miałem psa Anioła, który zawsze ze mną laził (chyba że, jak dziś, miał jakieś ciekawsze zajęcie), a ponadto kochała się we mnie nasza sanitariuszka — Liubow, którą łatwo było skojarzyć z Marusią ze względu na wygląd i pochodzenie. No i podkochiwała się we mnie druga z naszych dziewczyn — Lidka, czyli Bożena, córka Jehówki.

— Wy bierzecie tę stronę — wskazał *oberleutnant** Baca, przywódca „Niemców” z Nieskórzowa — a my tę... — wybrał dla swej specgrupy bardziej zarośnięty teren. Serial oparty na powieści Janusza Przymanowskiego święcił w moim pokoleniu triumfy popularności. Suchy był Gustlikiem, Szefo — Tomkiem, a Mafia — Grigorijem. Przeczytawszy książkę po raz pierwszy, zauważyłem, jak bardzo film odbiega od prozy.

Rozbiegliśmy się po wertepach. Ukryłem się w glinianym wyrobisku, gdzie plenił się czarny bez. Jesienią zamierzaliśmy go zerwać i sprzedać w skupie, a za zarobione pieniądze kupić sobie jakieś fajne spluwy. Chłopaki chciały zwyczajne korkowce, a mnie marzył się sztucer Henry’ego — ulubiona strzelba Old Shutterhanda, jednego z bohaterów cyklu przygód Winnetou. W podnieceniu czatowałem na przeciwnika. Należało strzelić do wroga „Tra — ta — ta!”, samemu pozostając niezauważonym. Wygrywała ta armia, z której ocalał choćby jeden żołnierz. To była moja ulubiona zabawa. Suchy wołał strzelanie do wróbli z procy. Chciał ich ustrzelić jak najwięcej, bo twierdził, że w Związku Radzieckim płacą wróblami. Dałem się niedawno namówić i też zrobiłem sobie procę. Strzeliłem do wróbla siedzącego na dachu, ale nie byłem pewien, czy go zabiłem — spadł w pokrzywy za budynkiem. Spowiadaliśmy się z tego z Suchym. Mówię księdzu, że strzelałem do wróbli, a on na to: „To ty też?”. Ot, tajemnica spowiedzi.

Chociaż trwała wojna, wyciągnąłem z kieszeni spodni notes i ołówek. Zamierzałem prowadzić dziennik wojenny, a tymczasem na okładce napisałem drukowanymi literami „Księżstwo”. Podzieliłem go na kilka części zatytułowanych: „Nauka”, „Sport” (z podgrupą „Piłka nożna”) oraz „Różne” i opisałem swe poranne triumfy. Nie wiedziałem, że z czasem w moim notatniku pojawią się kolejne rubryki. Rutynowe notatki rozrosną się do rozmiarów mikroopowiadań, bo przestaną mnie interesować tylko fakty,

* Porucznik.

ale ważniejsze staną się okoliczności zdarzenia. To miała być kronika budowanego przeze mnie Księstwa.

Przypiekany wieczornym słońcem oparłem głowę o ścianę zieleni. Ta zaczęła się nagle rozsuwać! Znalazłem wejście do jakiegoś lochu. Wszedłem doń zgięty wpół. Przyświecając sobie zapalniczką, którą wziąłem z domu (po skończonej zabawie mieliśmy palić ognisko), po kilku krokach minąłem korytarz i znalazłem się w piwnicy. W świetle zapalniczki zamigotały złote refleksy. Zobaczyłem wielki regał z książkami o pozłacanych grzbietach. Na wszystkich widniał napis Księstwo. Gdy dotknąłem pierwszej z nich — *Niech żyje wolność* — za moimi plecami rozległ się cichy ciepły głos:

— To twój wielki skarb...

Za mną stała śliczna, młodziutka dziewczyna — w niebieskiej bluzeczce, obcisłych dżinsach i tenisówkach na nogach.

— Na imię mi Renata — blondynka uśmiechnęła się serdecznie, a w jej policzkach zrobiły się urocze dołki. — Ja też jestem częścią twojego skarbu, który zdobędziesz w przyszłości — wyciągnęła do mnie rękę. Nie pozwoliłem się jednak dotknąć i uciekłem do wyjścia. Gonił mnie jej radosny, szczerzy śmiech. Zgubiwszy zapalniczkę, przez korytarz przesunąłem się po omacku. Chciałem uciekać w kierunku wsi, ale nie mogłem, bo zrobiłem się nagle jakiś ociężały...

— Obudź się — jakby z oddali dobiegł mnie głos Liubow. Gdy się ocknałem, pochyliła się nade mną mała sanitariuszka. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to nie „Nauka”, „Sport” (z podgrupą „Piłka nożna”) oraz ona będą moim skarbem, ale „Księstwo” i jakaś Renata...

— Chyba dostałeś udaru słonecznego — martwiła się Liubow.

Sienkiewicz

— Po co jedziesz do Baćkowic? — zapytał Suchy, który wysiadł z matką z autobusu z Kielc. Z powodu srogiej i śnieżnej zimy PKS spóźnił się pół godziny, a przecież nam bardzo się spieszyło.

— Połknąłem Sienkiewicza... — tłumaczyłem, ciągnięty przez matkę do autokaru. — No, dziesięć złotych... Jedziemy do lekarza...

— A może przyjsz do ciebie późni? — zapytał Suchy. — Miałeś mnie połączyć z polskiego.

Potknąłem i już byłem w autokarze.

— Może nic ci nie będzie — matka wyglądała na poważnie zaniepokojoną.

na. Mnie najbardziej było żal tych dziesięciu złotych. Sienkiewicz był moim ulubionym pisarzem. Wyglądając przez oszronione okno, w którym wychuchałem dziurę, przypomniałem sobie scenę kuligu z *Potopu*. Marzyło mi się, że kiedyś tak będę jechał saniami z moją Liubow. Sienkiewicz był pisarzem, który potrafił ze zwykłej opowieści uczynić baśń.

Dopiero gdy dotarliśmy do gminnego ośrodka zdrowia, zaniepokoiłem się. Matka nie miała najlepszej opinii o doktorze Jabłku, do którego się wybieraliśmy.

— O, dawno cię u mnie nie było — uśmiechnął się, a mnie sparaliżował strach. Kiedyś, gdy byłem młodszy, często się przeziębiałem i bywaliśmy tutaj często. — Co się stało?

— Bawiłem się dziesięciozłótką z Sienkiewiczem. Chciałem sprawdzić, czy jest ze złota... Ugryzłem ją tak jak w westernie *Złoto dla zuchwałych*. I pokłnąłem, przypadkiem... — Od kiedy zaczęły się ferie, bez przerwy graliśmy w karty z Szymonem, Suchym i Szefem, i opanowała mnie prawdziwa żądza pieniądza. Kiedy niedawno Szefo próbował kantować i położył łapę na leżącej w banku gotówce, ze złości wbiłem mu w rękę długopis, aż wkład przeszedł na drugą stronę. — Czy ja umrę? — w oczach stało mi widmo starej Janowskiej, której ciało widziałem poprzedniego dnia w domu naszych sąsiadów. Był to pierwszy trup, któremu mogłem przyjrzeć się z bliska.

— I co? — Suchy chyba bez przerwy czatował w oknie, bo wybiegł natychmiast, jak tylko mijaliśmy jego dom. — Bedzies miał łoperacje?

— Dał mi jakieś tabletki przeczyszczające — odrzekłem. — Jak to nie pomoże i nie wysram Sienkiewicza, to dopiero wtedy mogą mnie pokroić... — cała sytuacja wydała mi się teraz zabawna.

— To jak, połucys mnie dzisiaj z polskiego? — dopytywał się Suchy. Bardziej od nauki interesował go chyba mój stolec, ale się zgodziłem.

Matka szła przodem. Spieszyła się ugotować kolację i do obrządku, bo rano ojciec pojechał do Worszylskiego zamieniać się gołębiami i było pewne, że wróci pijany.

— Mom sie nałucyc łodróżniać casowniki łod rzeczowników — powiedział Suchy, gdy znaleźliśmy się w pokoju. Rozłożył zeszyt i przyglądał mi się badawczo.

— W jednym słupku wypisz wszystkie rzeczowniki, jakie znasz, a w drugim czasowniki — usiadłem na łóżku i wziąłem do rąk *Potop* Sienkiewicza.

Ta połknięta dycha uświadomiła mi, że muszę jeszcze raz zagłębić się w jego dzieła. Uczyłem się na nich czytać i czasem wydawało mi się, że mógłbym pisać równie zajmująco.

— Gówno to rzeczownik — powiedział Suchy, bazgrołąc w swoim zeszycie. Uśmiechnął się przy tym szyderczo. — A jak się wysros, to skond bedzies wiedział, ze wysrołeś Sienkiewicza?

— Kupę zrobię w stary nocnik — odrzekłem po chwili namysłu. — Jest chyba jeszcze w piwnicy... — urwałem, bo matka wniosła dwie szklanki herbaty na tacy.

— Weź tabletkę — wręczyła mi tabletkę. — Przyszli Karol i Henia, a ja muszę iść do obrządku — rzuciła trochę rozzłoszczona, wychodząc.

Wróciłem do lektury *Potopu*. Niekiedy film był ciekawszy od książki — uświadomiłem sobie. Narzucał odbiór. Kmicie już zawsze będzie Danielem Olbrychskim, a Oleńka Małgorzatą Braunek. Nawet nie mogłem podstawić w ich miejsce siebie i Liubow.

— Dopiro po tygodniu jo znalazły! — zza ściany dobiegła skarga Karola. — Proboszcz obchodził kościół dokoła. Zwrócił uwagę na zaspe śniegu przy kościelnym murze. Ksiondz się przyjrzoł zaspie... Przestraszoł sie, bo zobocył wystajonco spod śniegu noge babki w gumofilcach...

— Dziesińc metrów zabrakło babce — podchwyciła wąż Henia — zeby sie schronić w kościele przed zimnem... Sła na popołudniowo msze... Upadła przy murze... Nikt tego nie widzioł... To wszystko przez mojo matke... — zaczęła pochlipywać.

Wymieniliśmy z Suchym porozumiewawcze spojrzenia.

— Jo to myślę, ze staro była wiedźmą! — wyszeptał zabobonnie syn sołtysa. — Pamientos, jakie miała łocy?

Zajrzałem w nie kiedyś z bliska, bo chciała mnie pogłaskać po głowie, lecz nie zobaczyłem w nich odbicia własnej postaci, tylko koziołka! Ojciec straszył mnie kiedyś przed snem, że tak można rozpoznać czarownicę. Może to była wróżba dotycząca mojej przyszłości — na przykład że pójdę na studia do Lublina, w którego herbie znajdował się koziołek?

— A ty pamiętasz, jak w ubiegłoroczną noc świętojańską szła do lasu? — zerknąłem na Suchego. — Mówiła, że zajmuje się zbieraniem ziół, żeby leczyć swoje choroby... Ale ją wtedy przestraszyłeś... — mówiłem, a syn sołtysa dumnie się uśmiechnął. Przyczaił się na konarze zwisającym nad ścieżką, którą wracała Jankowska. Skoczył jej w płachtę, w której niosła zio-

ła. Nie przeżegnała się wtedy ze strachu, jakby to zrobiła jej córka dewotka, ale zaczęła coś złorzeczyć niezrozumiale.

— Taa, na choroby ziele zbierała! — zachnął się Suchy. — A po co jej były wronie pióra, kawołki gwoździ, kuńskie kopyta, bydlenco sierść i kozie rogi? Cary łodprawiała! Wis, po co łuna sła do kościoła? Coś jej było potrzeba do rzucynio na kogoś łuroku! — był podekscytowany. — Tak mi mówiło moja matka... — zastrzegł. — Carownice do swoich guseł używajo frędzli łod kościelnych chorongwi, rencników z ołtarzy, kawołków świc...

— Ojciec mi mówił, że najchętniej posługują się chrząstkami nietoperzy, na które polują w noc świętojańską. Gdy ją wtedy śledziliśmy, to pewnie szła do puszczy łapać nietoperze...

— Wis, jak jest po cesku „batman”? — Suchy zmienił temat. Nie wiedziałem, więc rzucił triumfalnie: — Netoperek! Ha! Ha! Ha! — śmiał się zadowolony, że wie coś, czego ja nie wiem. — No, kiedy bedzies sroł? — niecierpliwiał się.

— Powiem ci... — wzruszyłem ramionami. — A Jankowska, to ona tamtej nocy świętojańskiej to chyba była na Łysicy. Chciała tam nazrywać jak najwięcej ziela świętego Jana. Tego podobnego trochę do mięty. Jego czubek ma ponoć moc czarodziejską... — puściłem wodze fantazji. Stara Jankowska stała się w moich myślach potężną wiedźmą, w której mocy było zsyłać na ludzi śmierć i choroby, marnować dobytek, odbierać krowom mleko, niszczyć miłość pomiędzy zakochanymi. Tak, babka Karola i Heni była wielką czarodziejką.

— Jo to słysołem — wtrącił Suchy — ze wiedźmą może być nie tylko staro baba, ale nawet młodo dziełucha.

— Gdy zbudowali klasztor na Łysej Górze, wiedźmy przeniosły się na Łysicę. Zlatywały się tam w noc Kupały. Przed jazdą na miotle nacierały się pod pachami maścią z jaszczurek i węży, wróblích skórek i żabiego skrzeku... A gdy się już wszystkie zleciały, rozniecały wielkie ognisko i w jego blasku oddawały hołd najważniejszej wiedźmie sabatu — wielkiej czarownicy. Możliwe, że była nią Jankowska... — mówiłem, a Suchy słuchał mnie oniemiały.

— Ale godos jak jaki pisorz — odezwał się wreszcie. — To chyba przez to, żeś połknął te dziesięć złotych z Sienkiewiczem.

Rzeczywiście, czułem się, jakby wstąpiła we mnie jakaś dziwna moc. Moja wyobraźnia była pobudzona.

— Na ramieniu miała wielką ropuchę... — ciągnąłem opowieść. — Wiodła korowód licznych wiedźm w objęciach diabłów. Przygrywała muzyka wygrywana przez czarne kocury na radłach, piłach, grzebieniach...

— Henia tys wyrośnie na carownice — rzucił drwiąco Suchy. — Ino z tym cornym kotem chodzi, zamiast się łożynić...

— Miałeś wypisywać czasowniki i rzeczowniki. — Upomniałem Suche-
go, wstając z tapczanu. Tabletką wywołała pożądany efekt.

— Idziesz po nocnik? — szybko zorientował się syn sołtysa. — Ide z to-
bom... — zerwał się od biurka. — „Srać” to jes czasownik — pochwalił się
swoją wiedzą gramatyczną.

— Ale nie będziesz patrzył, jak sram — zastrzegłem. Zeszliśmy po schod-
kach i ruszyliśmy do piwnicy.

— Nasa matko jo do kościoła wyguniła — doszły nas żale Karola. —
Darła sie, ze babka żyje jak staro wiedźma, do kościoła nie chodzi... Ze to
wstyd, bo ludzie godajo... A przecie babka staro jus byli... Było z dwajścia
stopni poniży zera... Jak nie wracali, pošli my z Heńką jej szukać... Nie
znaleźliśmy...

— Dobro kobita byli — wtrąciła Henia, a my z Suchym nasłuchiwalismy.
— Wszystko przez mojo matke, nos tyś gnębiła. Nie dała sie łożynić, ani mnie,
ani Karolowi... To dlatego w końcu my oboje powariowali...

— Straszna śmierć... — wtrąciła moja matka, która już pewnie dosyć
miała tych oskarżeń. Odwiedzali ją na zmianę — albo oni w dwójkę, albo ich
matka. I dzieci gadały przeciwko matce, a matka przeciwko dzieciom.

— E tam, strasno śmierć — zachnął się Suchy. — A co mnie mogło spo-
tkać? Jak posedem na jesieni na grzybki do lasu, to mnie wilki łobskocyły.
Zjeś mie chciały. Takie strasne... zielona ślipska miały... Dobrze, ze leśnicy
nadjechał wiliśem...

— Babka posła do kościoła i łumarła... — przeżywała Henia.

— Ciekawe, cy spod kościoła posła prosto do nieba? — zastanawiał się
Karol.

Nie słuchaliśmy dłużej, bo przecież ustaliliśmy już, że Jankowska była
czarownicą. Zszedłem do piwnicy i znalazłem stary nocnik. W ostatniej chwi-
li. Niestety, Sienkiewicza nie było. Czy miał we mnie zostać na zawsze?